

Ulica Piłczewskiego

2001 r.

ANDRZEJ KWIATEK

Kotela

Hydraulik Olczak zszedł po schodkach i od razu skierował kroki na Piłczewskiego. Chciał być w domu jak najszybciej. Minął kościół, skręcił w prawo i obszedł parafialny ogród. Stał ostrożnie nierównym chodnikiem na skarpie, gdzie było ciemno i nieprzyjemnie; zdarzyło się niejednemu stoczyć w tym miejscu kilka metrów w dół i wylądować w brudnej wodzie melioracyjnego rowu. Wyszedł potem na duży plac przed mieszkalnymi blokami, na którym każdej jesieni wyrastał niegdyś namiot cyrkowy, latem zaś stawał się boiskiem piłkarskim osiedlowej dzieci. Za dnia przepelniony wrzaskiem i kurzem, tonął późnym wieczorem w mroku i ciszy, przerywanej niekiedy wyciem pijaków, głosami psów lub wrzaskliwym śmiechem drugiego już pokolenia dorastającego na osiedlu. Przemierzający plac samym środkiem, zatrzymał się naprzeciwko białych neonów z czerwonymi napisami: „Market całodobowy” i „Market odzieżowy”. W prawych dolnych rogach neonów widniało to samo nazwisko napisane kursywą: *J. Kotela*.

Sklepy rozbudowały się ostatnio. Młody Kotela wymienił i okratował okna w kamienicy, pokrył dach wiśniową, falistą blachą, fronton wyłożył klinkierowymi płytkami. Wymienił na swój koszt tablicę „Ul. Karola Świerczewskiego” na „Ul. Józefa Piłsudskiego”. Dobudował też oszklone wejście, a z boku, gdzie kiedyś było podwórko starej Kurkowej, postawił coś w rodzaju garażu lub magazynu z ciężkimi wrotami.

Chodnik przed budynkiem był na tyle szeroki, że mieściło się na nim, za niskim białym płotkiem, kilka stolików pod ceratowymi parasolami-reklamówkami coca-coli i piwa Lech, zwanego „głupolem”. Teraz parasole sterczały złożone, krzesła powkładane jedno w drugie i spięte łańcuchem, oparte były o ścianę pod oknem. W jarzeniowym świetle lamp i neonów wyglądały jak jaśniejsze gwiazdki na tle bezkresnej nocy, jednak niełatwo byłoby orzec, czy są one czymś w rodzaju światełek w tunelu, czy raczej iskierek w dopalającym się ognisku.

Twarz Olczaka wykrzywiła się na wspomnienie Kotelowych gruszek. Młody Kotela rozprowadzał swojego czasu, jako pracownik wydziału rolnictwa i leśnictwa, drzewka owocowe. Wziął kiedyś ze szkółki w Kalinie cztery tysiące podkładek tak zwanej Kaukaskiej, gruszki odpornej na mrozy, lecz niejadalnej, i sprzedawał na lewo jako Salisbury. Podobno chłopci sady pozakładali z tej Kaukaskiej – najwięcej w Studziankach. A kilka sztuk, które pozostały, posadził Kotela wzdłuż ścieżki wiodącej do wychodka. Kto wie, może pomyślał sobie, że gruszki nie będą takie złe, skoro tylu chłopów je kupiło. Gdy drzewa zaczęły owocować, okazało się, że jest to straszne świństwo, gorsze w smaku od buraków pastewnych i twardsze od brukwi.

Kotela ju prawie trzymał za kark małego Olczaka z gruszkami za pazuchą, gdy upadł nagle. Poderwał się natych-

miast, wzruszył nonszalancko ramionami i ten ruch go zgubił, gdyż po wtórnie stracił równowagę i lupnął uchem o granitowy głaz. Zakrwawione ucho wyglądało z daleka jak dziura w głowie ryczącego cyklopa Polifema. Tyle jest gruszek na świecie o boskim smaku i aromacie, a ten kutwa poświęcił ucho dla okropnej Kaukaskiej.

Chłopi nie darowali Koteli. Kilka lat później, tuż przed Zaduszkami, złapali go, pogrążonego w zadumie pośród grobów komunalnego cmentarza, dwaj dragale ze Studzianek i potraktowali po chamsku: ucięli krawat nożem, urwali rękaw od jesionki i podeszwę od buta. Kotela pochlipując i obracając w dłoniach rozszarpany but wyznał, że nie dla korzyści dopuścił się oszustwa i nie z chciwości lecz z bezgranicznej rozpacz. Stary już jestem, powiedział, choć nie miał jeszcze wtedy czterdziestki, schorowany jestem, ojca pochowałem. Widzieliście, jak bliscy dbają o groby umarłych? Pomniki marmurowe, krzyże bazaltowe, płyty z mosiężnymi uchwytnymi, na płytach napisy duszę kojące. „Serdel Józef” – czytam, dajmy na to, i czuję się jakbym stał przed wielkim wodzem, artystą lub bojownikiem o słuszną sprawę. Uświadomiłem sobie: „zdechiesz jak pies bezpieczny, zatracisz się po śmierci, nikt nie pochyli się nad tobą w nabożnym skupieniu”. Panowie, powiedział, choć to byli chłopci, postanowiłem zbudować grobowiec rodzinny i solidny pomnik, ale w tych pieprzonych komusznych czasach, niełatwo trochę grosza odłożyć. A tu miejsce wykupić trzeba, wymurować, postawić – a każdy tylko czyha, żeby wydusić z człowieka ile się da. Skąd ja miałem na to wszystko wziąć?

- Ach, ty chamie! – krzyknął jeden z dragali, chociaż Kotela nie był żadnym chamem. Zaczęli tamosić go za włosy, wreszcie zmusili, aby pokazał to swoje wymarzone dzieło. Wprawdzie było już ciemno, lecz w świetle drgających płomyków zniczy połyskiwały wyraźnie złote litery: Franciszek Kotela, żył lat 80, a niżej: Józef Kotela, żył lat ... i tu miejsce puste, czekające na dzień, w którym Pan uzna, że Kotela-syn wywiązał się bez zarzutu ze wszystkich zadań na tym łożu padole.

Nie uszanowali chłopci świętego miejsca. Krzyż przewrócili. Złote litery podeptali. Powiedzieli, że na tym nie poprzestaną i że spotkają się w sądzie. Następnego dnia mówiono, że jacyś wandale groby na cmentarzu zbeszczęścili.

Stary Kotela był podobno kimś w rodzaju pomocnika leśniczego w spaliskich lasach i z samym Mościckim ciekawie rozmawiał nie raz. Miał też psa Lepa, który dobrze pływał i nurkował jak wydra, bo najbardziej smakowały mu ryby. Potrafił zjeść nawet żywego sumy. Pewnego razu Mościcki i jego ludzie wracali na luzie, dowcipkowali, dźwigali zające, których powiązane skoki wystawały zza ramion jak luły zapasowych fuzji, a tu nagle Lep wyskoczył z podwórka i wbił zęby w prezydenckie bryczesy. Trzeba było mu rozwiierać szczęki myśliwskim



nożem, gdyż nie chciał puścić nogawki, jakby szczękościsku dostał. Kiedy prezydent dowiedział się o upodobaniach Lepa, przypomniał sobie, że niedawno znalazł w mankietach spodni kilka kulek białego kawioru; spodnie wisiały koło bryczesów, więc może przeszedł na nie zapach i tak denerwującą na psinę podziałał.

W czasie okupacji, gdy leśniczego wywieźli Niemcy, stary Kotela zabrał rodzinę, trochę gratów – wśród nich rogaty wieszak, na którym Mościcki powiesił kapelusz – i przeniósł się do miasta. Zamieszkał w kamienicy dalekich krewnych żony, których wojna jak oszalały drwał wyrząbała bezlitośnie. Ostatnia, cioteczna siostra żony, zginęła pod gruzami komórki zbombardowanej przez Rosjan (wyzwoliciele, psia ich mać!) tego samego dnia, gdy Warszawa była wolna (wolna?!, psia ich mać!). Jeszcze za Bieruta umarła podczas porodu (czerwone konowały, psia ich mać!) żona i Kotela zostałby kamienicznikiem pełną gębą, gdyby nie towarzysz Siwek, co mu wiechcie z butów wyłaziły i cała ta cholerna złodziejska zaraza przywieziona na czołgach wraz z panią Perepeczko (Żydowa, psia ją mać!). Wiecznie dychająca matka Goca mawiała: Uczcie się kochane dzieci. Gdyby ktoś krzywdę chciał wam zrobić, natychmiast idźcie do Siwka, on już będzie wiedział, jak drania rozumu nauczyć. Mówiąc „drań”, miała na myśli starego Kotelę.

Dzisiaj Kotelowie są nie byle kim. Stary przeciąga się pewnie z rozkoszą w rodzinnym grobowcu, jako że sprawiedliwości stało się zadość. Drobnolistki płaczących brzódek, szeleszczących nad złotymi literami, zdają się cieszyć wraz z nim. Odzyskali całą kamienicę, elewacje odświeżyli, czarne łuki nad oknami spożywczego i odzieżowego wymalowali. Nad łukami dwa białe neony z czerwonymi literami. W dawnym mieszkaniu Goca jest teraz butik. Dokładnie w tym miejscu, gdzie skrzypiało obrapanie metalowe łóżko jego matki, stoi kasa, za kasą panienka czyściutka przelicza banknoty drobnymi paluszkami. Miejsce, gdzie stała szafka nocna i emaliowana spluwaczka, pokrywa teraz szmaragdowa terakota, a nad nią, pod sufitem, kołyszą pachnące, wytworne sukienki, zakiaty, bluzki i marynarki.

Tuż przed śmiercią matka przykazała Gocowi wpłacać regularnie na

książeczkę mieszkaniową, technikum skończyć i jak najszybciej uciekać od Kotelów.

- Sam będziesz, a Kotelów wielu. Siwka zabraknie i co wtedy?

Matka Goca szanowała Siwka bardzo, ale zawsze miała mu za złe, że nie jest dość stanowczy i certuje się z łobuzami.

- Przysięgam ci, Mietek, stary Kotela nie jest twoim ojcem, on tylko wyprawkę musiał dać, kiedy się urodziłeś. Sprzątałam u nich jeszcze za okupacji, popychadłem byłam, a później, po wojnie, ten bydlak wygonił mnie i nie chciał dać wyprawki. I właśnie wtedy poszłam do Siwka. Ludzie mówili, że z Siwkim nie ma żartów, ale to była nieprawda, bo rozkazał tylko Kotelom, żeby dali mi izbę na parterze i wyprawkę, jak należy; ja myślałam, że wsadzi ich w pociąg dalekobieżny i na Syberię wyśle... No, ale musiałam do partii wstąpić – wypadło, gdy zaproponował. Nawet dzieła Stalina w dwóch tomach dostałam; ale przestałam chodzić na zebrania jeszcze przed Ochabem i Gomulką przez waszą kochaniutką nauczycielkę, panią Perepeczko. Wstała kiedyś i mówi: - „Dochodzą nas słuchy, towarzysko, że libacje urządzenie w domu, dziecko demoralizujecie, podobno rozpalacie ogień w kuchni kartkami wyrwanymi z książek, które wam władza ludowa podarowała. Mniemam, iż zbyt dosłownie pojmujecie określenia „oświecać”, „rozjaśniać”. Wręczając wam książki, użyłam tych słów w głęboko humanistycznym sensie”.

Chciała być dowcipna. Zapytałam, kto jej tych głupstw naopowiadał, a ona:

- „Nie naopowiadał, towarzysko, lecz poinformował, w dobrze pojętej trosce o wasze morale, nasz nowy towarzysz Kotela”.

Towarzysz Kotela! – trzymajcie mnie ludzie, bo pękne ze śmiechu! Pierwszy pod baldachim się pcha, jakby proboszcza chciał zgwałcić, a teraz tutaj przyszedł lizać parkiety. Trudno i darmo, mówię, dla nas obojga nie ma miejsca w waszej partii, możecie mnie pocałować w dupę, więcej na zebraniu nie przyjdę!

W mieszkaniu Goca był mały przedpokoik, w nim ten sam ogromny wieszak na trójnogu, na którym Mościcki kapelusz powiesił – rozłożył jak rogi jelenia, z miedzianą miską na spływającą wodę z parasoli. Matka Goca

wydarła go Kotelom, gdy nie mogła uprosić wyprawki. Zrozpaczona i zdesperowana chwyciła wieszak, którym usiłowała przebić starego. Domownicy byli jednak w przewadze i szybko przeszli do kontrataku. Gocurowa wycofywała się powoli, klując na prawo i lewo. Dała w końcu za wygraną, lecz wieszaka z rąk nie puściła, uznając go z czasem za zadośćuczynienie w naturze za wyzysk i wszystkie krzywdy.

Goc zawsze był gotów sprawić lanie każdemu, kto nieostrożnie obchodził się z wieszakiem. Siadał często w sieni i potrafił czyścić go bez końca. Najpierw skrobał delikatnie nożem, starannie zdejmował cieniutkie wiórki z kolumny i nóg przypominających orle szpony, potem gładził glancpapierem, zdmuchiwał niewidzialny pył, głaskał delikatnie opuszkami palców. O kim myślał wówczas – o matce? o Kotelach? o Mościckim? – trudno powiedzieć.

Ogólnie rzecz biorąc nie miał jakichś specjalnych wymagań. Poza piwkami i wiatrem w żaglach niewiele potrzebował. Robił po mistrzowsku zwroty przez rufę, jakby horyzont na wodzy trzymał. W szkole nie opuścił ani jednego obozu na Mazurach, a gdy zaczął pracować w Metpolu, od razu zorganizował kółko żeglarskie; pół załogi w fabryce nauczył wybierać i luzować szoty, stawać w dryf i „prostować kilwater młotkiem”. Może jeszcze gotowane raki były ważne i trzepot łabędzich skrzydeł o zachodzie słońca. Były i wycieczki. Jeździło się po całej Polsce. Kruszwica, Malborg, Toruń i w drodze powrotnej krótki postój w Płocku; Toruń, Gdańsk, Gdynia i w drodze powrotnej krótki postój pod Grunwaldem; Kraków, Wieliczka, Oświęcim i krótki postój w Jędrzejowie; Jelenia Góra, Szklarska Poręba i Karpacz, w drodze powrotnej odpoczynek we Wrocławiu. Połowa uczestników była w stanie jedynie wymienić z trudem tę „świętą trójcę”, gdyby jednak ktoś zapytał, co zwiedzili, co zobaczyli, niewiele by się dowiedział. Jakież strzępy wspomnień, nakładające się na siebie obrazy i czysty duch – polskości, rzecz jasna – ogólna, nieokreślona duma wyrażająca się wyciem w drodze powrotnej, istnym grochem z kapusta: *Czerwone maki, Oka, lance do boju... poszła Karolinka... i choć padło... Podmoskiewskie wieczory, Marina, Dayana, Stary niedźwiedź mocno śpi* w bigbitowej wersji.